



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Potęga i znaczenie wychowania

POGADANKI PEDAGOGICZNE

przez

Janinę S. Aleksotę.

VII.

„Dusza ludzka—to bojowisko, gdzie ciągle dobre z złem się ściera”—powiada Klementyna z Tańskich Hoffmanowa w dziele swem „O powinnościach kobiet.” Zdanie to trafne, musi być ciągle w pamięci wychowawcy. Walka Ormuza z Arymanem spostrzega się wszędzie u wszystkich osobników, a główna rzecz w tem, by dopomagać w onej walce, dobremu do zupełnego zwycięstwa nad złem. Młodzież musi to wiedzieć, że ponad laury Cezarów i Aleksandrów Macedońskich wyżej stoją zwycięstwa odniesione nad własnymi namiętnościami i że tamci nie byliby również wielkimi, gdyby nie umieli pokonywać samych siebie. Ze zwycięstw strategicznych ludzkości nie wiele przypadło w udziale dzieciom, ale niejeden raz zabłysła pochodnia uszczęśliwienia tam, gdzie panowała ponura ciemność. Złoty wiek, gdzie opamiętał się człowiek pokonał w sobie zwierzę, „Piekielne moce zwoływał!”—jak brzmi tryumfalna pieśń wielkanocna zaczynająca się od słów: „Wesoły nam dziś dzień nastał!”

W istocie tryumf to wspinały—i pozostanie modłą zwycięstwa dobrego nad złem tak nieśmiertelną jak skończenie i z tą samą mocą nieśmiertelną jak Chrystus tego tryumfu wiecznym jest ideałem. Pokonywać w walce przeciwnika może tylko sil-

niejszy, a w młodej duszy ani jest moc taka wypróbowana ani umiejętność skutecznego walczenia. Zaledwo instynkt samozachowawczy wyrabia naturalną skłonność samoobrony. Wychowankowi tedy do zapasów i walki broni trzeba dać pewną, niezawodną. Bronią taką będzie przede wszystkim: dobry przykład, jak najjaśniejsze pojęcie tego, co jest dobre, a co złe, zrozumienie, kiedy, w obec jakich okoliczności dobre może nie być dobrem, a raczej zaszkodzić może bliźniemu, a przytem wyrabianie o ile się da, panowania nad sobą, które jest w życiu jednostek tem, czem np. ster u okrętu, koła u wozu,—bo jakkolwiek i bez nich jako tako, z wysilkami i trudami popchnie się wóz,—ale to nie będzie już jazda, okręt obejdzie się bez steru, ale jakże będzie błędził, do celu nie zdąży, a w końcu się rozbije. Umiejętność panowania nad sobą wyrabia charakter stały, nieugięty, zdecydowany. Pracę nad wyrobieniem charakteru trzeba rozpoczynać wczesnie, nie licząc na to, że dopiero później w odmęcie życia i światła wyrobi się jak mówią prawdziwie charakter. Spuszczanie się na to „później”—byłoby temsamem, co historia z dokumentem w jednej z komedyi francuskich. Dyrektor każe sobie dawać tylko prośby na piśmie; biedak jakiś domaga się audyencyi, już ma powiedzieć, po co przyszedł: gdy dyrektor ze stanowczym ruchem ręki powiada mu: Na piśmie to podaj, co chcesz mówić, mój kochany. Wpada biedak jeszcze drugi i trzeci raz, ale za każdym razem mówi mu. „Podaj na piśmie”—i wyrzucają go za drzwi. Nareszcie przychodzi z dokumentem w rękę, po kilku godzinach. Dyrektor czyta następujące słowa: „U pana dyrektora w pomieszkaniu wybuchł pożar.” Przerażony dyrektor woła: „A ty bałwanie, czemuż mi tego natychmiast nie powiedział!” „Pan Dyrektor kazał podać to na piśmie”—odpowiada denat. Zwlekając z rozpoczęciem jakiegokolwiek pracy wychowawczej wydaje

złe rezultaty zanim bowiem czynność ratunkową przeciw pożarowi dawno wybuchłemu rozpoczniemy, tymczasem ogień zniszczy cały budynek. J. J. Rousseau miał niejeden trafny pomysł pedagogiczny, ale systemat jego, który wedle opinii F. Nicolaya wypowiedzianej w dziele np. „Dzieci źle wychowanie,”—da się krótko streścić w słowach:

„Pomyśleć trzeba o wychowaniu dziecka wtedy dopiero, gdy stał się już młodzieńcem” jest stanowczo chybnym. Dlatego w przeciwstawieniu do tego rodzaju zapatrywania, wymownem jest porównawcze powiedzenie tegoż samego Nicolaya, które tu przytaczamy. Zapytuje on mianowicie: Czy, można zgąć gałązkę dębu i zrobić z niej kółko foremne? I odpowiada warunkowo najpierw przecząco potem twierdząco. Zatem: Nie, jeżeli się tego nie uczyni z odpowiednim natężeniem, jeżeli się ją chce zgąć bez poprzedniego przygotowania, jeżeli oddawna już rośnie krzywo, jeżeli się nie zważa na włókno drzewa i jeżeli się chce skończyć robotę w jednej godzinie... Tak, jeżeli się postępuje zwolna, jeżeli się bierze pień jeszcze bardzo mały, jeżeli się go umieści w otoczeniu, które go zwolna uczyni giętkim.

I tak dzięki tym staraniom, tej przezorności, otrzyma się niezawodnie doskonałe kółko. Przykład powyższy żywcem zastosowany jest do metody wychowania i jego oddziaływania na młode umysły i dusze, ażeby je z czasem oddać na pożytek społeczeństwa. Ale zanim się je wypuści na arenę publicznej działalności, zahartować je wpraw trzeba, gdyż inaczej padną przed metą w walce z sobą samymi i w walce z losem. Szczepione, szlachetne drzewka oddawać ma wychowanie ludzkości, a nie dziczki, które nie tylko, że się na nic nie zdadzą, ale drugim jeszcze staną się balastem i cierpkością swą zatrutą będą tamte ze starannością pielęgnowane szczypty. Charakter to rzecz wielka, ogromnie

poszukiwana, niezmiernie cenna, coś możliwie w człowieku najpiękniejszego. To brylant najpiękniejszy pośród innych klejnotów. Filarami tego gmachu wspaniałego charakterem zwanego są: prawda, prostota, szczerłość, skromność, wytrwałość, odwaga. Ani jeden z nich, nie należy do tego rodzaju cnót, któreby się nie dały nabyć, lecz w każdym razie powtarza się tu historia owego kółka foremnego z dębowej gałęzi.

Rozpatrzmy kolejno te filary, rozważmy jak je należy wytworzyć, żeby były trwałe i celowi odpowiadające. Jak należy najpierw wzbudzać w dziecku zamiłowanie prawdy?

Przedewszystkiem przez przykład własny, dalej przykład wskazany w opowiadaniu, czytaniu, czy wprost na kimś znanym, żyjącym, działającym. Dobrze bowiem powiedziano, że przykład jest najwymowniejszym kaznodzieją.

Równocześnie wpajając miłość prawdy, działać trzeba w celu obudzenia wstrętu do fałszu i obłudy, wykazywać ich brzydotę, wskazać jak one poniżają godność człowieka, jak go czynią złym, nieśmiałym, trwożliwym, gdyż wiecznie nad nim wisi jak miecz Damoklesa, możliwość wykrycia nieprawdy i kara za nią lub złe następstwa. Niechaj wychowanek nie tylko wie, ale niechaj to czuje i przekonania tego nabywa, że „usta, która kłamią, zabijają duszę.“ Niechaj wie, że prawda bogacza moralnie człowieka, że dla prawdy i za nią umierano ochotnie, niech wie, że to jedyna droga, prościutko wiodąca do słonca, bo to droga prosta. Wpajamy w młode umysły to przekonanie, jakie tak pięknie wypowiedział J. Słowacki w odniesieniu do prawdy: „Jeśli wytkniesz sobie drogę, a prostą, dojdiesz po niej choćby do słonca, często na krzyżu lub grobie odpoczywając.“ Z zamiłowania prawdy wypływa szczerłość, jakkolwiek do niej już pewne dane muszą być z natury.

Surowość bezwzględna wychowawcy, karząca za najmniejsze przewinienie bez wszelkiej uwagi na okoliczności do winy pobudzające i inne warunki, jest stanowczo narzędziem spaczania charakteru: wyradza ona trwogę, nieszczerłość, kręctwo i kłamstwo. Kiedy dzieciak zbroił coś złego, a odrazu otwarcie się do winy przyznaje, już ten sam fakt natychmiastowego przyznania się surowość kary zmniejszać powinien, a w niektórych wypadkach nawet ją zupełnie powstrzymać. Natomiast za popełnione kłamstwo bardzo surowo karać i zaznaczać wyraźnie, że w danym wypadku nie o jakąś szkodę inną chodzi, tylko o samo kręctwo, matactwo, kłamstwo. Szczere postępowanie z dzieckiem, a tem nauczycie je szczerości. Niechaj ono zrozumie, że nie się nie powinno ukrywać przed przełożonymi zwłaszcza, że co się czyni, czynić się powinno otwarcie i jawnie,—a skoro tak być ma, więc temsamem unikać należy czynów takich, do którychby się przyznać nie można. Jaka to zbawienna nauka! Od wieluzłego ona chroni, wiele razy zbawia i ocala w życiu człowieka. Byłoby tylko wychowanek z całą ufnością polegając na swym wychowawcy mógł się tą zasadą przejąć,—a wtedy z samego zastosowania onej zasady w praktyce wypłyłoby skromność i prostota rzetelna, których nieprzyjacielem zaciętym jest zbytek.

Od zbytku tedy najzamożniejsze nawet dzieci chronić należy. Przesadne dogadzanie we wszystkim, pobłażanie kaprysom, co do strojów, wybrednego jedzenia i t. d. wyradza próżność, zarozumiałość, brak serca i prawdziwie murzyński egoizm.

Kto nie ma wstrętu do tych wad, kto im pobłaża u siebie samego i u tych, których wychowuje, ten niechaj zamilczy o charakterze; nie ma go on i mieć nie będzie, dopóki nie wyruguje tych wad, które spaczają go zupełnie. Przeciwnie zaś, człowiek miłujący prawdę, szczerzy, pełen prostoty, skromny w życiu i wymaganiach—patrzy śmiało każdemu w oczy, niczego się nie lęka, jest szlachetnie odważny. O takim człowieku mówimy, że ma charakter, takiemu powiedzieć możemy: „To ten sam Fabiusz którego tak niepodobna sprowadzić z drogi cnoty, jak słonca z drogi mu przepisanej.“ Wyrobić taki charakter u wychowanek jest najpiękniejszym zadaniem wychowania i jego koroną.

Ugruntujmy mocno te filary, a na nich stanie tak poszukiwany przez ludzi tak wielkiej ceny, gmach charakteru człowieka. Tylko jak wszędzie, tak tembardziej tutaj powtórzyć musimy pedagogom archaiczną, ale nigdy nieprzestarzałą w wychowaniu piosnkę o konsekwencji. Nadmienić jeszcze należy, że wedle zdań niektórych psychologów, skłonność do kłamstwa u dzieci, bywa największą między trzecim, a piątym rokiem życia. Nie jest to wyrocznia, ale skoro się w istocie zauważy w tym wieku większą skłonność do kłamstwa, należy w owym właśnie czasie potroić czujność nad prawdomównością dziecka i pracę około jej utwierdzenia. Lękają się niektórzy, że ta naiwna szczerłość i prawdomówność dzieci, krzyżuje nieraz pewne domowe plany, albo głosi wszem wobec i każdemu z osobna to, co byśmy chcieli zachować w tajemnicy. Ztąd to obawa przed owymi „*enfants terribles*.“ Na to jedna może być rada:—uważać jeśli w istocie należy coś zachować dla siebie, nie mówić wszystkiego, co na myśl przyjdzie wobec dzieci, jak przed prokuratorami, a strzedz się samemu popełnienia mistyfikacji w tym np. rodzaju—jak owo przysłanie do jakiegoś tam domu bukietu, a kiedy gospodyni domu w obec licznie zgromadzonych gości spytała: Bukiet? Od kogoż to? Doprawdy opędnąć się tym prezentownie podobna! Dziewczynka na to się odzywała: „przecież mama sama kazała przynieść bukiet, gdy będą goście.“ Zresztą takich i tym podobnych wypadków zna każdy nie mało,—ale one są raczej wskazówką postępowania i ostrzeżeniem przed blagą, tą szumowiną kłamstwa.

Obok tego wszystkiego, co się powiedziało, należy jeszcze bardzo pilną zwracać uwagę na zajęcia dziecka, strzedz go od próżniactwa—gdyż i to wpływa niezmiernie na wyrobienie charakteru. Zdarzyło mi się spotkać dziewczynkę sześciolatkę, którą nie zbyt przyzwyczajano do pracy i nie prowadzono konsekwentnie. Dziecko było bardzo inteligentne, z bujną wyobraźnią, z wielu zresztą zaletami. Co chwila jednakże trzeba było ją karać za jakieś przekroczenie. Zaczęła w końcu przewracać wszystko matce na toalecie. Powiedziałam do niej:

„Co też ty robisz? Czy to potrzebne? Czy nie będzie to nowa dla matki przykreść?“ „Pewnie, odpowiada rezolutna dziewczynka,—ale ja już doprawdy nie wiem sama, co mam robić tak mi się nudzi.“ To samo dziecko zajęte czemkolwiek okazywało się najlepszym w świecie. Skrętność i praca pomagają wielce do rozwoju charakteru, a nie pozostawiają czasu na wzrost wielu wad i przywar. Zwłaszcza umysły żywe, z bujną wyobraźnią—muszą mieć ciągle zajęcia lub zabawę odpowiednią. To mając wszystko w pamięci i jako *vade-mecum*—wychowawca zdąży systematycznie do tego końca, jakim jest uczynienie z dziecka człowieka, króla stworzenia, najdzielniej panującego nad sobą.

Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego

przez

Piotra Chmielowskiego.

(Dalszy ciąg).

III.

W pojęciu tragiczności nie trzymał się Słowacki zawsze i wszędzie tej samej zasady: czy to konieczności nieodwołalnej starożytnych tragiczków greckich, czy rządów Opatrznych nad światem jak u Kalderona, czy odpowiedzialności za czyny własne, jak u Szekspira i nowszych wogóle dramatyków, czy wreszcie losu i przypadku jak u romantyków niemieckich. Poeta nasz brał te wszystkie motywy po kolei w swoich

dramatach, albo też łączył je i mieszał ze sobą w sposób dowolny i fantastyczny. Natura jego kapryśna, daleka od wszelkiej systematyki, bawiła się, można powiedzieć, dobieraniem różnorodnych podstaw dla swoich budowli dramatycznych. Zyskiwały one tym sposobem na urozmaiceniu, tak że ani jeden dramat Słowackiego nie jest, pod względem architektoniki swej, podobnym do drugiego; ale traciły równocześnie na ześrodkowaniu efektów, na podniosłości tragicznej, na jednolitości i sile.

W czterech pierwszych dramatach szedł Słowacki mniej lub więcej szczęśliwie za Szekspirem w pojęciu i przeprowadzeniu winy tragicznej; jest nią konsekwencja czynów danej osobistości; każdy z bohaterów popełnia jakiś błąd lub nawet zbrodnię i za nią ponosi karę. W „Mindowem“ osobistość naczelną grzeszy podwójnie: przyjmując pozornie chrześcijaństwo, które lekceważy, i porywając żonę Dowmunta Aldone. Los jego nie budzi ani grozy, ani społecznego, gdyż charakter jego, pomimo byronicznego zabarwienia, nie ma w sobie podniosłości, ani rysów sympatycznych. W „Maryi Stuart“ bohaterka z początku płocha tylko, staje się w dalszym ciągu zbrodniarką, która jedynie dzięki czarowi poezji, jakim ją Słowacki otoczył, nie przeżywa wstrętu, tak że widzenie przyszłego zgonu na rusztowaniu wywołuje litość dla nieszczęśliwej, choć zbrodniczej królowej. W „Kordyanie“ wina leży również w charakterze bohatera, w jego słabości woli, w zdenerwowaniu, nie pozwalającemu mu dokonać czynu, który wziął na siebie. Nie ginie on, ponieważ i wina jego nie jest tak wielka, ażeby śmiercią jedynie odkupioną być mogła. W „Horsztyńskim“ Hetman umiera śmiercią gwałtowną jako karą za zdradę kraju; co do losu syna jego, wahającego się między czią dla rodzica, a obowiązkiem patriotycznym, jesteśmy w niepewności, ponieważ nie posiadamy zakończenia dramatu; prawdopodobną jednak jest rzeczą, iż zgon jego dobrowolny zakończy walkę wewnętrzną, jaka się w nim toczyła przez cały ciąg utworu.

Ale już w „Horsztyńskim“ spotykamy śmierć dobrowolną prawie bez winy; śmierć tytułowego bohatera, niewidomego starca, podejrzewającego żonę o miłość dla Szczęsnego. Dwie podobne skłaniają konfederata do samobójstwa: chcąc uniknąć skutków ruiny majątkowej spowodowanej przez Hetmana, a powtóre chce się usunąć z drogi szczęścia swojej ukochanej Salusi. Po nim pełnił on wprawdzie winę kiedyś, gdy odebrał sobie przez Hetmana narzeczoną; posiadał już jakiegoż żonę; ale poeta nie wprowadza tego motywu do postanowienia Horsztyńskiego, używa go tylko jako powodu zemsty knutej przez Hetmana.

Zupełnie bez winy giną Amelia i Zbigniew w „Mazepie.“ Nie platoniczna, czysta ich miłość sprowadza katastrofę, lecz podejrzliwość i okrucieństwo Wojewody oraz lekkomyślność paza królewskiego i—przypadek, (że Mazepa musiał się skryć w alkowie Wojewodziny, słysząc obce kroki). Sceny powstałe z tego zawiązania są wzruszające, budzą współczucie dla nieszczęśliwych ofiar, ale nie posiadają charakteru prawdziwie tragicznego.

Przypadek rządzi głównie zdarzeniami w „Niepoprawnych.“ Losy wszystkich osób ważnych, występujących w tym utworze, nie zależą od ich charakterów, ale od pomyłki, popełnionej przez Kałmuka, który zamiast Idalię porwał panią Rzecznicką, co wywołało amerykański pojedynek między Fantazym i Majorem, i śmierć Majora.

Przypadkowość w połączeniu z pewnym fatalizmem rodzinnym wywołuje kolidyze w „Beatrix Cenci.“ Nie morderstwo ojca sprowadza naprawdę katastrofę, chociaż jest jej początkiem, ale ukazanie przez czarownicę głowy Beatrycy malarzowi Gianiemu i mściwość jego brata Piotra Negri za odrzuconą swą miłość. Dwie zbrodnie w dwu rodzinach popełnione i przypadkowo ze sobą związane prowadzą Beatrycę na szafot, a Gianiego do samobójstwa.

W „Lilli Wenedzie“ ginie cały naród nie tyle dla braku sił żywotnych, chociaż Roza dla pod-

niecenia osłabłych wyrzuca spółrodakom brak męstwa, ile z powodu braku harfy, t. j. jakiejś potęgi mistycznej, która miała obudzić odwagę i zapewnić ludowi Wenedów w walce z Lechitami zwycięstwo. Można by przypuścić, że słabość i miękkość charakteru Wenedów była przyczyną upadku, gdy się zetknęli z twardymi i nieubłaganyymi Lechitami, gdyby nie obecność Rozy namiętnej i krwawej wśród pierwszych, a dobrodusznego, choć odważnego Lecha wśród drugich.

„Balladyna“ jest najznamienniejszym utworem Słowackiego pod względem użycia motywów tragicznych; użył tu poeta wszystkich możliwych, poczynając od przypadku, a kończąc na Opatrzności. Przypadkiem nazwać musimy, że Goplana każąc zła czar na córkę Wdowy nie powiedziała, na którą z dwóch, sądząc zapewne, że domysłny wykonawca jej woli, Skierka, domysli się, że idzie tu o usunięcie rywalki względem Grabca. Skierka jednak nie okazał się domysłnym i obdarzył czarem zarówno Balladynę jak i Alinę. Natomiast w mieszanie się świata duchów, świata nadmysłowego w sprawy ludzkie, przemiana Aliny w wierzbę, oddanie korony Popielów Grabcowi, nie jest rzeczą przypadku, ale wynikiem działalności wyższej nad ziemską. Konsekwencja czynów znalazła rozległe zastosowanie, bo zabójstwo, popełnione przez Balladynę, prowadzi za sobą w połączeniu z jej ambicją szereg innych morderstw i nieszczęść. Lecz rozwiązanie zawikłań, wywołanych trzema poprzednimi czynnikami, powierza autor czwartemu t. j. widomej interwencji Opatrzności, która piorunem zabija zbrodniczkę uragającą ze sprawiedliwości ludzkiej. Takie połączenie i zmieszanie różnorodnych motywów tragicznych nadaje „Balladynie“ cechę bardzo oryginalną, właściwą kapryśnej twórczości Słowackiego, nie lubiącego się krępować jednostajnymi regułami, lecz nie przyczynia się wcale do wzmocnienia siły wrażenia, do skupienia efektu, do wywołania potężnej grozy tragicznej. Dzieje się w utworze bardzo dużo rzeczy strasznych, trupów jest wiele, bo w każdym akcie ginie jedna lub nawet dwie osoby; ale mimo to czytelnikowi wciąż staje na myśli ów „uśmiech Aryostyczny“, jaki swej „Balladynie“ przyznał twórca. Nie może wypadków w tragedii przedstawionych rozważać na serio, jako objawów życia ludzkiego, lecz patrzy na nie jako na genialną igraszkę wielkiego talentu, który swobodnie pusił wodze fantazyi.

W układzie sztuk pierwszy Słowacki—jeżeli pominiemy dramat romantyczny Odyńca p. t. „Izora“, wydany r. 1829, jako bardzo lichy, oraz „Piękną kobietę“ Korzeniowskiego, napisaną wprawdzie r. 1829, ale nie ogłoszoną drukiem—zerwał pęta Pseudo-klasycznych trzech jednostki i zaczął po Szekspirowsku szafować czasem i zmianami miejsca. Ta bujna swoboda kompozycji odpowiadała rodzajowi talentu Słowackiego i jako zapoczątkowanie nowej doby w rozwoju twórczości dramatycznej miała wielkie znaczenie. Trudno wszakże twierdzić, iżby poeta nasz wszędzie umiejętnie z tej swobody korzystał, iżby wszędzie potrafił zmianę miejsc należałycie pod względem artystycznym upodobać, iżby wszędzie zmiany te wychodziły na korzyść dzieła sztuki. Przeciwnie swoboda przemienia się nieraz w dowolność, szkodzącą skupieniu wrażenia i sprawiającą, że dramat przedstawia się jako szereg luźnych scen, nie zaś jako całość jednolita („Mindowe, Horsztyński“). Często sytuacje nie mają cechy dramatycznej, lecz epicznej lub lirycznej, t. j. służą do zaznajomienia czytelnika lub widza z osobistościami i ich uczuciami, a nie do popchnięcia akcji naprzód (przykładów tego najwięcej znaleźć można w „Kordyanie“, w „Horsztyńskim“, „Mindowe“, „Niepoprawnych“, „Balladynie“). Zdarzają się nawet rzeczy zupełnie zbędne nie tylko dla rozwoju akcji, ale nawet dla charakterystyki osób głównych dramatu, jak w I-m akcie „Mazepy“. Zdarzają się nagłe zwroty, nieczem albo słabo przygotowane przez poprzednie wypadki czy charakterystyki; najbardziej w tej mierze uderzająca jest zmiana w Maryi

Stuart po zabiciu Rizzia i przy pojawieniu się Bothwella.

Regularnością budowy nie odznacza się żaden z dramatów naszego poety. Niema tu porządnej ekspozycji, ani stopniowego natężenia w przebiegu akcji, ani silnie uwydatnionych momentów zwrotnych, ani umiejętnie przeprowadzonej katastrofy. Słowacki lubił przypadkowość i błyskawiczność, a wielki talent poetycki sprawiał, że błędy kompozycji niezawsze ujemnie oddziaływały na wrażenie całości. Z tej właściwości poety wynikały pożyczki jego czy raczej przypomnienia z dzieł autorów obcych. Dla nakreślenia sytuacji, która miała posiadać cechy realne, zamało zebrał Słowacki spostrzeżenia własnych, a więc i środków, mających ową sytuację uplastycznić i czytanie dostarczać mu wówczas reminiscencji, przemienionych już na własność duchową poety tak, że w chwili pisania mógł on nawet nie wiedzieć, iż powtarza motywy, użyte przez Szekspira, Chateaubrianda, Alfieriego, Byrona, Balzaca.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGAWĘDKA.

Jak to lato niepostrzeżenie przeszło, a jednak miało wszystkie uroki i czary sobie właściwe. Słowiki gdzieś się odzywały, pieśń lasów płynęła z wód falami, dzwoniły sierpy i kosy, żółte snopy zbóż kładły się rzędami długimi, a skowronkowe pieśni dodawały ochoty żniwiarzom; przesłone były zachody słońca, czarodziejskie wschody, a te noce księżycowe melancholii i smutku pełne, na długo mogły zapisać się w pamięci... I to wszystko, to wszystko tak minęło niepostrzeżenie!

Wprawdzie ci, którym los pozwolił opuścić bruki miejskie i skąpać się w przezroczystym powietrzu górskim, albo w cieniście głębie lasów się zanurzyć, lub oczy nasycić pól i muraw zielenią—nie mogą się uskarżać na czas miniony; lecz cóż to obchodzi tych, którzy, przykuci do taczki swych zajęć codziennych, na krok prawie jeden nie wychylili się z szarych murów miasta—przecie miarą ich zadowolenia nie może być zadowolenie czyjeś, wrażenia przez kogoś doznane nie wypełnią czczości ich duszy ani będą dla umysłu podniętą do pracy dalszej. Nie dziwimy się więc ich westchnieniom i okrzykom:

— Ach! jak to lato niepostrzeżenie przeszło!

A przeszło!

Dni coraz krótsze, mgieł coraz więcej, czasem obłoków płaszcz szary pokryje niebo i chłodny deszcz, nie pada, lecz sączy się leniwie przez dzień cały. Zielenieją jeszcze liście na drzewach, lecz przypatrz się baczniej, a purpurowy kolor jesieni z ciemnego już tła ich przebija i ani spostrzeżesz, jak obramują się złotem, suchym szelestem się odezwą, z wiatrem polecą i żółtopomarańczowym kobiercem na ziemię się ułożą.

Sypać się liście będą, sypać się będą i—jeżeli lubisz zabawić się w kabale—nadaj tym listkom znaczenie pewne i patrzaj, co z nimi dzieć się będzie:

Oto—życie twoje...

Chwieje się w lewo i w prawo liść niem oznaczony, kręci się i wiję niespokojny, lecz nie wiesz czy dzisiaj, czy jutro wiatr go strąci.

Oto—złudzenia...

Zaledwie wypowiedział to słowo—liść opadł...

A oto—głupstwo ludzkie.

Na próżno szamocze się wiatr—osypują się liście wszystkie, ono jedno trzyma się i pokonać się nie daje.—Wierz swej kabale—nie zawiodła ciebie.

Tymczasem na ulicach miasta coraz ludzkiej i gwarniej. Barwią się mundury i mundurki, co

chwila dobrze znajome spotykasz twarze, opalone nieraz od wiatrów polnych, uśmiechnięte, wesole, szczęśliwe. Krzyżują się pytania i odpowiedzi:—„Jakie wieści z za gór przynosisz?“ „Co słysząc u was?“ „Odetchnęło się trochę.“ Śmieją się ci, którym wonne powietrze Abazy napęniało pierś przez trzy miesiące, markotno wyglądają oddychający stale warszawskiem powietrzem. I minęło wszystko jak sen: lato, ciepło, słońce, kwiaty i złudzenia; zwyczajnym porządkiem świata nadejdą chłody jesienne, i zima miejska...

Brrr!...

Nieza długo i teatrzyki ogródkowe pożegnają. Powiodło się im czy nie powiodło, to już dyskretną jest tajemnicą panów dyrektorów, napewno tylko wiemy, że *Eldorado* nie sprzeniewierzyło się swojej nazwie, a powodzenie swoje zawdzięcza.—Malce.

Małka Szwarcenkopf była złotą żyłą dla teatru przy Długiej ulicy. Chałatowa publiczność zapęniała szalenie widownię, akt trzeci zaś dramatu żydowskiego, prowadzony prawie cały w żargonie, był niemalą przynętą dla nich. Wiodoczną nowość ta pociągającą była, życzeniem jest jednak aby naśladowców nie znalazła. Sztukę, napisaną z ogromnym talentem i znajomością życia żydowskiego, ze stanowiska artystycznego patrząc popsuły te żargonowe wstępy, a co najważniejsza, że—nierozumiane przez publiczność doborowszą—bawiły tych, którzy rozumieli—niezbyt moralną treścią dialogu. Pisma nasze zwracały niejednokrotnie uwagę na tę nieprzyzwoitość, a musiało coś tam być bardzo nieprzyzwoitego, gdy w tej sprawie „Izraelita“ nawet głos zabrał i ostro wystąpił. Ale tłum śmiał się i teatrzyk wypełniał, grosz kapł i kapł do kalety przedsiębiorcy. Więc czegoż chcą ci moralisci nieproszeni, wtracający wszędzie swojego nosa? Z pewnością, że Dyrektorowie teatrzyków innych, ilekroć ujrzą rzędy pustych u siebie krzeseł, tylekroć myślą przenosili się na Długą ulicę i—na rok następny—jeżeli nie o Małce Szwarcenkopf, to o Josku Weissenaze marzyli. A jednak, Małka, byłaby dziełem niepowszędnym, gdyby nie ta fałszywa nuta żargonu, psująca rzecz całą.

Wkrótce i nasz Teatr Letni do gmachu Rozmaitości przeniesie się. Ale opinię publiczną zaniepokoiła wieść, że magistrat zażądał od Dyrektora Teatrów warszawskich usunięcia z Ogrodu Saskiego letniego przybytku sztuki.

Zkąd taka chęć wyrządzenia przykrości warszawiakom?

A byłaby to krzywda prawdziwa.

Od lat tylu przyzwyczailiśmy się do tego Teatru Letniego, tak nam dobrze z nim było, tak jakaś swojsko! A jakkolwiek na gruncie miejskim stoi Teatr Letni, nie wadzi on nikomu, nie psuje piękności ogrodu, nie zamąca spokoju szukających odpoczynku wśród drzew zieleni. Ze zniesieniem Teatru, obszar ogrodu, (jeżeli o obszar tu chodzi,) zbytecznie się nie powiększy; a gdyby inaczej nawet było, przybytek kilkuset lokci kwadratowych nie wynagrodziłby straty poniesionej z powodu usunięcia tego letniego przytuliska sztuki naszej. Podczas upałów letnich, prawdziwi nawet amatorowie sceny, nie radzi byli by parzyć się w murach Rozmaitości. A gdzie znaleźć miejsce dogodniejsze dla Teatru letniego, jeżeli nie w Ogrodzie Saskim?—Wiadomo, że ze wszystkich miast europejskich Warszawa najuboższa jest w ogrody, w śródmieściu szczególnie. Jakże więc względy kierowały rozporządzeniem zarządu miasta, wiedzieć nie możemy, pewnem jest to tylko, że magistrat powinien liczyć się z uczuciem publiczności jakiej ma dla tego kąca Ogrodu Saskiego, gdzie już sobie prawo obywatelstwa uzyskał nasz Teatr letni.

Z bieżącej chwili do zanotowania mamy wiadomość daleko już milszą, że—projekt pomnika Adama Mickiewicza uzyskał zatwierdzenie władzy i pozwolenie postawienia go na skwerze znajdującym się na Krakowskim-Przedmieściu, naprzeciw ulicy Trębackiej, w miejscu, gdzie obecnie wodotrysk stoi. Wodotrysk, kosztem komitetu oczywiście, usunięty dalej zostanie—

a natchniona postać wieszczą naszego z wysokości kolumny granitowej ku miastu spojrzę.

Pośpiech, z jakim wykonany być musi pomnik, nie powolił rzeźbiarzowi naszemu modelu swojego wystawić na widok publiczny. Podobnie jego dadzą nam pisma ilustrowane, tym czasem zadowolę się zdaniem znawców, którym dano było oglądać dzieło Godebskiego.

Wiemy, że pomnik ma być ściśle architektoniczny, bez ozdób żadnych składających się z figur alegorycznych lub postaci wziętych z dzieł wieszczą. Alegorye nie zawsze się udają, a tu nie o nie nam chodzi, lecz o samą postać poety, która ma przemówić sama za siebie.

Otóż słyszeliśmy, że artysta odpowiedział zupełnie położonemu zaufaniu w talencie jego.

Mickiewicz stoi na cokule w surducie zapiętym na wszystkie guziki i płaszczy zwieszającym się z ramion. Prawą rękę położył na sercu, lewą podtrzymuje draperyę płaszcza, czoło ma nieco ku górze wzniesione, wyraz oczu natchnienia pełny.

I o cóż tu więcej chodzi?

Natchnienie powinno być wszytkiem, to natchnienie, które blaskiem niebiańskim wypływało z czoła i oczu autora „Dziadów.“ Cała postać Mickiewicza ma być wykonana doskonale—tak mówili nam ludzie, na których zdaniu polegać możemy. Czas szybko upłynie i stanimy przed posagiem wieszczą, który jednym skrzydłem swych natchnień o przeszłość, drugim o przyszłość uderzał, wstrzymywał okiem lecące żorawie, nad rozum uczucie przeniósł, z głębi serca swojego rzucił narodowi życzenie wielkie: ażeby choć jedną chwilę tak górną przeżył, jak jego przodkowie żyli całe życie.

Ba! żyć górną, do nizin nie zejść, ideału z szat purpurowych nie obdrzeć, mieć się kazać szanować we wszystkich chwilach życia i kochać tak jak się rodzona matkę kocha, której się nie ubliża nigdy i za nie—to...

Powracam do kabały.—Za szybko opada liść złudzenia.

Ciekawy urywek przeczytaliśmy w jednym z ostatnich numerów „Kuryera Codziennego“, o Łucyi Faure, jako felietonistce. Gdy obecny prezydent był jeszcze deputowanym, z córką swoją, Łucyą, odbywał podróż do Algierji. Młoda kobieta spisywała wrażenia swoje, które obecnie drukuje czasopismo „La vie algerienne et tunisienne.“ Znajduje się tam taki ustęp: „W Dar el bey powitali nas liczni przedstawiciele miejscowej ludności, przybrani w turbany. Ich czołobitne, uniżone pokłony wcale się nam nie podobały. Jakże różni się ta uniżoność od pełnego godności zachowania się Arabów, umiających budzić względem siebie szacunek, dziś jeszcze, pomimo, pięćdziesięcioletniej naszej okupacji kraju.“

Myśl uczczenia Mickiewicza, rzeklibyśmy, że poruszyła trochę sumienia nasze. Wiele imion, które przecie nie byle jak zapisały się na karcie dziejów piśmiennictwa naszego, niemiłosierny zaczął przysypywać pył zapomnienia—lecz oto budzą się głosy, budzi się pamięć.

Dobrze powiedział ktoś, że pomnik dla Mickiewicza „jest dziś niejako sercem dzwonu nawołującego do spełnienia obowiązku.“ I oto jeden z mieszkańców Lublina w miejscowej gazecie podnosi myśl wmurowania tablicy pamiątkowej w ścianę domu, gdzie się urodził Wincenty Pol. Projektodawca ma nadzieję, że grosz łatwo dałby się zebrać ze składek publicznych.

Ani chwili ni wątpimy o tem—choć—dziwna, na prawdę, jak szybko przebrzmiała sława autora „Pieśni o ziemi naszej.“ Zna go może i młodsze pokolenie, lecz nie odczuwa tak, jak myśmy odczuwali. A były chwile, że Pol z ust naszych nie schodził, że pieśni jego czytano, rozrywano, uczono się na pamięć, taką jakąś swoją, narodową nutę miały w sobie. Prawda, że krytycy, z młodszego pokolenia powstałi, zabarbarzyńsko z nim się obeszli.—„Pieśń o ziemi naszej“ zesłała z wyżyn poezji do geograficznych nizin—rycerski, posępny Mohort, typ kresowego bohatera, mamucią postać przybrał, autor „Pieśni Janusza“ stał się czcicielem pudełek, by-

leby zapachły myszką średniowieczny. I powoli, powoli usuwał się w mrok, w ciszę, w zapomnienie ś. p. Wincenty Pol.

A jednak—coś mu się należy od nas—choćby pamiątkowa tablica na domu w Lublinie.

Szanowny autor projektu chciałby od razu przy ogniu,—(przepraszam za trywialne wyrażenie się) dwie pieczenie upiec. Pol się urodził, Kochanowski i Klenowicz zmarli w Lublinie. Rzuca więc myśl wyjednania pozwolenia u władzy dla wmurowania tablic pamiątkowych i tym dwom pieśniarzom naszym.

Poeeci na kamieniu się nie rodzą, życie im tylko jak z kamienia idzie.

Nie wiem jak rzeczy dziś stoją z głośnym swojego czasu Adamkiem Hycem, któremu nawet opiekę i pomoc materyalną przynieśli ludzie dobrej woli. Mówiono, że to sprytny mistyfikator, który przepisywał mało znane ogłowi utwory, i za swoje podawał. Jak ostatecznie było—mniejśja; Adamek Hyc zdaje się, że już do przeszłości należy.

Lecz oto otrzymujemy list pewien, o jakimś młodzieńcu z nad Przemszy, piszącym pod pseudonimem: Kolibryk, który nie małą dozę talentu okazuje. Historia jego życia ma być następująca:

Kolibryk, syn wyrobnika, zbyt wcześnie osierociał, skończywszy zaledwie szkółkę elementarną, na praktykanta do rzemieślnika jakiegoś przystał. Mimo zajęć całodziennych, coś pchało go do pióra. Pisał więc i—jak list, otrzyman przez nas, powiada—w paru już „gazetach drukował bezimiennie“ wiersze. Zdaje się, że „Kurier Świąteczny“ i „Zorza“ dała przytułek samouczkowi. Książd wikary—idziemy dalej za treścią listu—widząc zdolności w chłopcu, zajął się samouczkiem—lecz wkrótce przeniesiony został i nie mógł już nadal opiekować się sierotą. „Wprawdzie—piszą nam—przed odjazdem polecił tenże ks. wikary młodego poetę opiece osób zamożnych i wpływowych, które jednak uważały za korzystniejsze zająć się szczerzej grą w winta lub sportem wyścigowym, niż losem sieroty—rzemieślnika. Młody adept poezji, widząc się zawiedzionym w nadziejach i opuszczonym, zniszczył prawie wszystkie utwory swoje i postanowił nie wdawać się wcale w pisanie wierszy. Powiedział sobie bowiem: „Poezya to moja pokusa, wiodąca mnie w krainę marzeń—był zaś rzemieślnicz da skromny, ale pewny kawałek chleba.“

Rozsądne to zdanie, ale cóż, gdy natura wilka do lasu zawsze pociąga.

Z paru nadesłanych nam wierszy, zamieszczamy tu „Sonet“ jeden, jako odznaczający się wcale dobrą formą, melancholią smutku i oryginalnem zakończeniem sześciowiersza.

Mglisto!... ponury cały świat!... deszcz pada...
Wiatr wyjąc, liśćmi z drzew po ziemi pruszy.—
Za wsią, usiadłszy wron, kruków gromada,
Kracze złowrogo w pól samotnej głuszy.

Smutno na świecie, lecz smutniej tej duszy,
Do której wnętrza zwątpienie się wkłada,
Gdy los surowszy na nią się obruszy
I w mrokach życia niknie gwiazda błada.

Rok ma w swym biegu cztery zmienne pory.
Czterykroć zdoła świat w zmienne kolory,
Lecz nie dla wszystkich bywają odmienne:

Tym, co los nuci żałobne nieszpory
I widma nędzy trapią ich jak zmary—
Wszystkie dni w roku bywają jesienne!...
Listopad 1896 r.

I to jest wiersz samouka, prostaka, jakiegoś Kolibryka z nad Przemszy!...

List, z którego tę wiadomość czerpiemy, wywa rodaków do zajęcia się losem biednego a utalentowanego chłopca, tembardziej, że lekarze, widząc zły stan jego zdrowia, zakazali mu ciężkiej, terminatorskiej pracy. Podpisany K... mówi, że i sam się przyczyni do składki ogólnej, lecz środki mu nie pozwalają do zajęcia się, bez

obecnej pomocy, losem sierotki. „Bliższe szczegółly można zasięgnąć od księdza Romualda Smolińskiego w Gołonogu St. p. Dąbrowa Górnicza, gub. Piotrkowska.“ Autor listu prosi o powtórzenie przez pisma wiadomości o Kolibryku.

Warto zbadać prawdę—dla tego rzecz tę podnosimy.

Na zakończenie dzisiejszej pogawędki, musimy zaznaczyć Szanownych czytelników z przepyszmem wydawnictwem, noszącem skromne miano „Jednodniówki Monachijskiej.“ Wydawnictwo to stworzy jednolitą całość artystyczną, a składać się będzie, ze wszystkich działów sztuki polskiej. Godnem jest zaznaczenia, że udział w niem wezmą nie tylko najznakomitsi poeci, malarze i muzycy—lecz i siły zupełnie nieznane, nowe, mające jednakże wybitne cechy talentu.

W dziale więc malarstwa widzimy następujących artystów:

Józefa Brandta, Olę Boznańską, S. Buchbindra, Władysława Czachórskiego, Józefa Czajkowskiego, Eug. Dąbrowskiego, Aleksandra Giermskiego, Stanisława Grocholskiego, Em. Jasińskiego, Leona Kaufmana, Alfreda Wierusz Kowalskiego, K. Wierusz Kowalskiego, Hr. Otolię Kraszewską, E. Lilienę, Sotera Jaxę Malachowskiego, A. Markowicza, Stanisława Radziejowskiego, St. Bohusz Siestrzeńcewicza, Wład. Szenera, Teofila Terleckiego, Maryana Trzebińskiego, Wład. Turquier, Władysława Wankiego, Feliksa Wygrzywalskiego, J. Wodzińskiego, Jul. Zubra.

W dziale literackim raczyli przyjąć współudział następujący pisarze:

W. Bugiel, Stefan Gacki, Kazimierz Gliński, Konst. Górski, Jan Kasprówicz, Marya Konopnicka, Antoni Lange, Kaz. Lewandowski, Miriam, Adam M-ski, Andrzej Niemojewski, Eliza Orzeszkowa, Stanisław Przybyszewski, Edward Porębowicz, Lucyan Rydel, Wład. Reymont, Selim, Ludwik Szczepański, Kazimierz Tetmajer, Wład. Wankie, Kazimierz Wize, Stan. Wyrzykowski, Jan Zakrzewski.

Muzyka reprezentowana zostaje przez:

Adama Lecha, Piotra Maszyńskiego, Wład. Żeleńskiego.

Dochód z wydawnictwa przeznaczony jest na korzyść kształcącej się młodzieży polskiej w Monachium. Format większy niż Tygodnika Ilustrowanego, wydanie całe na grubym welinie, reprodukcye obrazów wykonane artystycznie. Słowem, u nas, *poraz pierwszy* dzieło polskie w tak wspaniałej ukaże się szacie.

??

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Upłynęło dni kilka—Sośniccy obejrżeli się do koła. Trzeba było coś robić, wynaleźć jakieśkolwiekbyś środki do życia, by dzień z dniem związać i żywot mizerny przydłużyć.

Mimo woli oczy pana Mateusza zwracały się na córkę, jakby w niej czerpał otuchę i myśl pokrzepiającą na przyszłość. Gdyby czoło panu Jadwigi choć na chwilę zmarszczyła chmurka przelotna, gdyby jakaś zaduma usiadła na niem, niepewność zarysowała się—pan Mateusz, złamany przewrotami losu, na śmierć by się zagryzł, a melancholj czarna, wrotami szeroko otwartymi do jego weszłaby duszy.

Ale daremnie słuch i oczy wysyłał na zwiady, daremnie krokami lisiemi wsuwał się do pokoju

Jadwigi, gdy sama była: — witała go zawsze uśmiechem wesołym, nieprzymglonym blaskiem oczu, głosem pewności, że słabi tylko złamać się mogą, młodzi i silni muszą zwyciężyć. I Oleś coś o tem także mówił, ale on działalności swojej szersze zakreślał koło. W słowach syna nie było tej otuchy, jakiej pan Mateusz potrzebował, na poszept skargi odpowiadał:

— Samiście nawarzyli piwa, pijcie je teraz!

Zresztą wiadomem jest, że tylko ramię kobiece, oplatające, czy czoło zwiędłe starca, czy młodzieńca szyję, niewysłowny czar wlewa do duszy zbolalej.

Oleś, przenocowawszy u rodziców, nazajutrz z rana wyniósł się do swojego mieszkania, gdzie go interesanci wzywali. Zapowiedział tylko, że będzie na obiad przychodził o czwartej po południu, bo, jako kawaler, kuchni prowadzić nie może ani wdawać się w rzeczy dotyczące się domowego gospodarstwa, stołować się zaś w restauracjach niedorzecznością byłoby, mając rodzinę w mieście. Wieczerzy mogą mu nie zostawiać—przyjdzie czy nie przyjdzie, to już będzie zależało od czasu i dobrej woli pana Aleksandra.

Panna Jadwiga wysłuchiwała rozkazu brata z komiczną pokorą, a gdy wyszedł, odezwała się wesoło:

— No—teraz i my do roboty się bierzmy!

Za chwilę była gotowa do wyjścia —

— Dokąd to Jadziu?—spytał Sośnicki.

— Trzeba po świecie rozejrzeć się, tatusiu!

Ucałowała ojca i frunęła jak ptaszę.

— Jaka ona pewna siebie! — szepnął pan Mateusz. — A no—damy sobie radę, damy,—krzepił się i wyprostowywał się, jak żołnierz, któremu tajemniczo w uchu zabrzmiała pobudka wojenna.

Po dniach kilku słoty jesiennej, wyjaśniło się na niebie i słońce znowu zaczęło dogrzewać. Sośnicki wziął laskę i wyszedł na miasto, nie wątpił, że dużo znajomych spotka, bo nie on jeden tylko wyrzucony ze swojej Sośniny został, nie on jeden kręcił się w ukropie wypadków, nie on jeden przytułku szukał na bruku miejskim. Smutna to była pociecha, a jednak egoizm ludzki w tem podziale nieszczęść pewne dla siebie ukojenie znajduje.

Pan Mateusz przechodził zwolna ulicę i rozpatrywał do koła. Znał dobrze to miasto, do którego zagnały go losy, przyjeżdżał tu nieraz huczno i buńczuczno, czy to na jarmark doroczny, czy na sady, gdy się powadziło o coś z bratem sąsiadem. Znajomy gród, znajome mury, dom każdy, zakątek każdy!

Oto, gmach trybunałski.

Sośnicki westchnął —

Był niegdyś sędzią z wyborów —

Przed oczyma pana Mateusza przesuwaly się jakieś obrazy dawne. Była chwila, że Sośnicki nie wiedział, czy ta zmiana jest w nim tylko czy zewnątrz niego.

Szedł dalej—nagle zatrzymał się przed jednym domem zajezdnym, w którego wrotach stał żyd siwy, uśmiechał się, gładził długą brodę i poważnym ruchem głowy witał idącego.

— Pan Sośnicki—prawda, co pan Sośnicki?

— A—Mejer!—zawołał eks-sędzia. — Żyjesz jeszcze, poznałeś mnie?

— Co nie miał poznać!...

Ucisnął wyciągniętą rękę sędziego a kiwając poważnie głową, rzekł:

— I—pan?...

Sośnicki westchnął.

— I—ja—wyszeptał.

— Nie ma dnia, coby ja nie spotkał jakiego z dawnych panów swoich, a każdy do Mejera zachodzi, nie mieszkania tylko u niego szuka, nie pyta czy stajnie próżne, czy można dwie albo trzy czwórki koni pomieścić, tylko rady szuka. Nu, jak można, to ja radzę a jak nie można, to ja czasem... daję — — Nu—pan rozumie, co ja czasem pieniądze daję—bez kwitu, o tak—na oddanie lub nieoddanie.

— Doprawdy?—wyrzekł Sośnicki.

— Mejer żył z was—to teraz... Ale co o tem gadać, niech pan zajdzie do mnie!

Ujął pod rękę pana Mateusza i poprowadził do pokoju—

Usiedli, a Mejer zaczął:

— Aj waj—co to już przyjechało panów. I Roliński i Bernatowicz i Szamski i Dowdar a wszystko z żonami i dziećmi. Czy pan także, panie Sośnicki, z familją przyjechał?

— A oczywiście—żona, córka i syn.

— Panna Jadzia?

— A tak—

— Ja pamiętam jaka ona ładna była... Ona musi mieć lat dwadzieścia i kilkoro—jej trzeba za mąż pójść, ale za kogo pójść, kiedy kawalerów niema? Pan Aleksander, to ten się troskać nie będzie, on może dobrze się ożeni, bo on tu będzie jeden na dziesięć, co ja mówię na dziesięć—na dwadzieścia panien—!

— Oleś upatrzył już sobie zajęcie jakieś—wiesz o tem?

— Co by ja nie miał wiedzieć? On tu przyjechał i ja mu powiedział, co ma zrobić i jak ma zrobić; on jest agent na pożar—ja mu pomógł powiedział do kogo ma iść, jak gadać i chwalić Pana Boga jemu dobrze będzie.

Sośnicki ucisnął dłoń Mejera—

— Dziękuję—szepnął.

— Nu—ja wasz... ja—jeszcze wasz!... A pan ma z czego żyć?—zapytał po chwili.

— Mam—mam, nie wiele tego, ale da Bóg wystarczy!

— To bardzo dobrze—lecz, jeżeliby czasem—nu, zabrakło czasem, to niech pan do Mejera zajdzie... Ja panu dużo winien, panie Sośnicki. Był czas kiedy pan mnie pomagał, a jaki pan był sędzią sprawiedliwy, to o tem wszystkie żydki pamiętają.

Spotkanie się z Mejerem i krótka rozmowa z nim, była nową otuchą dla Sośnickiego. Są jeszcze ludzie pocziwi, którzy pamiętają dobro im uczynione—do takich należał i stary Baruch, Mejerem zwany, wielki mir pomiędzy obywatelstwem mający. Uderzył Sośnickiego tylko słowa wypowiedziane przez starego żyda:

— Ja—jeszcze wasz!...

A inni? a ci, co po nim nastąpią?...

I zasepiło się czoło pana Mateusza—czuł, że nieci dużo porwało się.

Zbliżała się godzina obiadowa, wyznaczona przez pana Aleksandra, Sośnicki głodu jednak nie czuł. Wyszedł po rannej herbacie, ze śniadaniem musiano czekać na niego, Jadzia z pewnością jest niespokojna. Czas wracać!

Spojrzał na zegarek.

Za kwadrans czwarta—

Jeszcze zdąży...

Wracał więc krokiem powolnym, przypatrując się mijającym go przechodniom, szukając znajomych twarzy współpatriotów swoich.

Na zakręcie jednej ulicy zatrzymał go głos znajomy:

— Co widzę? co widzę?... kochany sędzia, mści-dzieju—jak Boga kocham, sędzia!

Sośnicki podniósł oczy.

Przed nim stał słusznego wzrostu mężczyzna, otyły, sapiący, z twarzą wygoloną, o szpakowatych, krótko ostrzyżonych włosach, oczach siwych i wargach tłustych. Zanim pan Mateusz miał czas myśli zebrać, otyły jegomose porwał go w swe uściski i obcałowywać zaczął...

— I ty do nas?... i ty do nas, mści-dzieju!

Sośnicki wypatrzył się—

— Jakto do was?... Czyżbyś panie Ignacy także...

Pan Ignacy ramiona podniósł...

— Ot, widzisz! szczegóły na później! widzę tylko teraz mści-dzieju, że, jak słomki, wszyscy ściągamy się tutaj na bruk, na bruk, mści-dzieju! Dyabli wszystko wzięli i gdyby człowiek choć palce umoczył, żalu by nie było... Ale powiadam ci, mści-dzieju, czysty jak baranek jestem—i ot masz!... Koń brykał, hołobłom się dostało... Ale o szczegółach później!...

Pan Mateusz patrzył na spoconą twarz dawnego sąsiada i przyjaciela, człowieka zamożnego niegdyś bardzo, który się nazywał Ignacy Laminowski.

— Jakże to się stało?—spytał.

— Dyabli ich tam wiedzą! Podobala się Marchlaczka i basta!

— Sliczna wioszczyzna!—rzekł Sośnicki.

— A las? mści-dzieju.

— Puszcza prawdziwa!

— A stawy, mści-dzieju! jeziora kaukazkie, poprostu, aż śpiewają tak ryb tam pełno!...

— Pamiętam, pamiętam,—kiwając głową mówił Sośnicki. Dom murowany, sad tęczący się od owoców, grunta pierwszej kategorii, tłuste, pszenne...

— Oliwa ciekła—gdy w pięść wzięłeś garść ziemi i ścisnąłeś, mści-dzieju!

— Tak, tak—bez przesady potwierdzam, że tak... Ale zawsze coś ci zostało?... — pytał Sośnicki.

— Figa malowana, mści-dzieju—figa!

— Wzięłeś pięćdziesiąt tysięcy.

— A długów było sześćdziesiąt —

— Taki majątek?—westchnął Sośnicki. — No, ale jakże sobie poradziłeś z wierzycielami, którzy nic nie dostali?

— Cóż mogłem poradzić, mści-dzieju? Widzieli, że nie moja w tem była wina, żem wrzeszczał, protestował, aż dla uśmierzenia mnie do kozy musiano posadzić.

— I siedziałeś?

— Trzy miesiące, mści-dzieju!... A Bóg świadkiem, żem tyle winien, co dziecie nowonarodzone.

— Niby tak i ja...

— Ee—mści-dzieju — ty więcej zgrzeszyłeś, a wyszedłeś lepiej. Z twego domu, mści-dzieju—co to gadać! widzieli wszyscy, że i zapierać się było trudno... Ale ja? uciekłem zaraz do Berdyczowa i dwa lata w nim przesiedziałem... Wracam... Ale szczegóły później!...

— Mówił mi Baruch Mejer, że naszych tu już się dużo zebrało?

— Zbierze się więcej... lecz chodźmy, mści-dzieju, do jakiejś restauracyjki, na sznapę — Sośnicki zawałał się.

— No, co?—spytał Laminowski.

— Z obiadem na mnie czekają —

— Ot, argument, mści-dzieju!...

— Zaniepokoją się.

— Kto?

— I żona i córka!

— Czyś proformista, mści-dzieju, który poraz pierwszy do szkoły się udał i drogi nie zna?

— Ale wyszedłem z domu w czarnym usposobieniu —

— Wrócisz w różowym—a nagadamy się do syta.

— Chyba na jeden kieliszek tylko i śledzia kawalek —

— Bój się Boga, mści-dzieju—toż to czas obiadowy! Sznapś sznapsem a zupa pomidorowa i zrazy zawijane same przyjdą... Zostawiony w domu obiad na wieczór schowasz, ot—i oszczędność!... Chodź, panie sędzio, stary przyjacielu, Mateuszu kochany!

Nieopierającego się już Sośnickiego Laminowski za łokieć ujął i zaprowadził do pierwszorzędnej restauracyi Colliniego.

W sali było dużo obiadujących. Sośnicki nie dostrzegając gdzie znajomych twarzy, a powodując się namowami Laminowskiego, miał nadzieję, że spotka tego to owego z przyjaciół czy sąsiadów dawnych, o których wiedział, że podobnie, jak on, na bruk wyrzuceni zostali. Omylił się jednak.

Sośnicki zatrzymał się, jakby miał zamiar cofnięcia się, ale Laminowski pewnym krokiem naprzd postąpił a przechodząc między rzędami stołów, uśmiechał się, wyciągał prawicę, witał głośno a dziwnie serdecznie. Obracał się, jak pośród grona ludzi doskonale sobie znanych, z którymi go łączyła nie przyjaźni czy zażyłości dawnej —

— Znasz ich?—z odcieniem zdziwienia spytał szepem pan Mateusz.

— Zostawszy wyrubowanym wyrubowywać się muszę—mści-dzieju! — odpowiedział Laminowski.

Podeszli do bufetu.

— Starki—tej, wiesz—oficerskiej!...

Wypili.

— Bis repetita placet.

— Nie, nie,—odezwał się Sośnicki.

— Pij, mścicielu—a dobrze ci to zrobi—

Wypili raz jeszcze.

— Omne trinum...

— Za nie!

Lecz mimo protestu, pan Mateusz czując, że starka dobrze mu robi, wychylił kieliszek trzeci—

— Teraz, mścicielu, po kawałku bułki z kawio-rem i zasiadajmy do porządnego jedzenia...

Laminowski sapiąc i chuchając usiadł ciężko na krześle, obwiązał się serwetą i mlaszcząc tłustymi wargami, zażądał karty.

— Pomidorowa, biała, poledwica z rożna, kaczka z jabłkami, kalafiory i kompot... Później sery, kawa i koniak. Dobrze, Mateuszu?

— Za dużo...—szepnął Sośnicki.

A wzięwszy kartę dodał:

— I ceny dobre!

— Czy to, mścicielu, codziennie tutaj spotykać się będziemy?... Raz maty rodyla...

Garçon wyszedł z wydanymi rozkazami a Laminowski, ukroiwszy kawałek chleba, posmarówł go musztardą i jeść zaczął...

— Nie źle ci się jednak dzieje, Ignasiu, kiedy tak możesz—

— Et!—machnął ręką Laminowski.

— Dawno już, jak tu jesteś?

— Od roku.

— Masz stosunki?

— Huk!

— Wpływy...?

— Kolosalne!

— Może i mnie pomożesz w wynalezieniu jakiegoś zajęcia—

— Ależ naturalnie, mścicielu—naturalnie!..

Ktokolwiek tu tylko przyjedzie, do mnie jak w dym!...

— Musisz i sam mieć jakąś posadę?

Laminowski skrzywił się.

— Nie—ja mam inne sposoby do życia.

— Mieszkasz?

— Po kawalersku—

— A żona?...

— Rozwiodłem się.

— Bój że się Boga, taka dobra była kobieta!

— Ale nie na złe czasy, mścicielu!

Sośnicki brwi zmarszczył.

— I mnie i jej tak lepiej, powiadam ci na uczciwość,—ciągnął Laminowski.

Sośnicki powiódł oczyma po zgromadzeniu, zatrzymał przez chwilę wzrok na Limanowskim i zapatrzył się w talerz...

Zaczął jeść w milczeniu przyniesioną przez garçona zupę a na myśli mu stanął Oleś, poglądy jego na świat, ogromna metamorfoza ludzi i zdań... Chwilami zdawało się panu Mateuszowi, że siedzi na jakimś kotle wielkim, w którym coś wre, kipi, gotuje się i burzy, szumi i pryska, aż nastąpi pęknięcie szalone i kres wszelkiemu istnieniu. Lecz oto z ciężkich marzeń obudził go kojący głos Jadwisi, aż wstrząsł się i spojrzał po za siebie.

— Poledwica dla panów,—odezwał się tuż przy nim garçon.

— Porteru czy wina?—spytał Sośnickiego Laminowski—

— Po co porteru? po co wina?—kufel zwyczajnego piwa i dosyć!

— Gadanie, mścicielu!—mruknął pan Ignacy. — Drugi raz już może się nie spotkamy u Colliniego. Daj nam (zwrócił się garçon) tego... wiesz... angiłka—ha? (garçon skłonił się). A do kaczki—butelkę Burgunda.

Porter był wyborny, wino doskonałe, jedzenie królewskie, ale Sośnickiemu nie smakowała uczta. Z ukosa rzucił czasem wzrok na Laminowskiego, który, oddany jedzeniu, nie spostrzegł milczących pytań.

Przyszła kolej na kawę czarną i koniak—

Laminowski dolewał, serwetą pot kroplisty z czoła ocierał, raz w raz kiwnięciem głowy wita-
jąc wchodzących to wychodzących żegnając.

Sala się wypróżniła, gazowe zapalono światła a oni jeszcze siedzieli nad wypełniającymi się

wciąż kieliszkami koniaku. Wreszcie Sośnicki po zegarek sięgnął..

— Zagadaliśmy się uczciwie,—zawołał,—siódma!... Czas do domu!

— Poczekaj, mścicielu—czy ze mną ci źle?..

— Złe nie jest ale w domu czekają i niepokoją się na pewno—

— Mówię ci, mścicielu—zostań!

— Nie mogę—nie mogę...

— Jak chcesz!—wyjdźmy razem,—rzekł Laminowski. — Garçon!—zawołał, a wskazując na Sośnickiego:

— Rachunek panu—dodał.

Pan Mateusz stropił się—ale Laminowski nie zważał na to, zabawiając się koło zębów wyjętem piórkiem z kieszonki od kamizelki.

— Dziesięć rubli, kopiejek pięćdziesiąt—odezwał się uprzejmie garçon, podając rachunek panu Mateuszowi.

Sośnickiemu trochę palce trzęsły się—zapłacił, dał napiwek i powstał.

— Zaszedłbym do ciebie, mścicielu—ale na później wizytę swoją odłożę. Jesteś trochę markotny, ale trzeba się otrząść, a złe nie będzie, na uczciwość powiadam.

— Bylebym znalazł jakie zajęcie—szepnął Sośnicki.

— Mówię ci, mścicielu—masz już!—Pomogłem twojemu synowi, pomogę i tobie!

— Pomogłeś mojemu synowi? spytał Sośnicki.

— Zaasekurowałem swoje życie.—Spytaj!—ja byłem pierwszy, za mną poszli wszyscy. Ale powiedz mi, Mateuszu, jakżeś się ty urządził?

— O czym chcesz wiedzieć?...

— Wstajesz?

— Ośma?

— Herbata?

— O dziewiątej.

— Śniadanie.

— Punkt dwunasta.

— Bon! zawołał Laminowski. Brakowało mi właśnie tej dwunastej godziny. Bo widzisz, mścicielu, rozkład dzienny moich godzin jest następujący.

Herbatę z rana pijam u siebie, obiad o godzinie czwartej jadam u Szumskiego trzy razy tygodniowo, dwa razy zapraszam znajomych do Colliniego, a dwa obiady mam u księży. O wieczór nie dbam, bo codziennie gdzieś z wizytą jestem, nie tu—to tam! Nie mogłem dotąd tylko mieć śniadania, a do godziny czwartej czekać, to nie miło,—mścicielu! Aż oto, u ciebie—punkt dwunasta!... Będę, na uczciwość powiadam, będę!... ręka rękę myje, ubezpieczyłem się sam, posadę ci wyjednam, co mówię: wyjednam—już masz!—Dwieście rubli kwartalnie—co, źle? Trzysty?... Chyba by się ziemia zapadła, jeżeli nie będziesz miał trzysty.

— To tak sobie radzisz?... odezwał się szeptem prawie Sośnicki.

— Widzisz—kopf! zawołał Laminowski, prztykając się w czoło.

(Dalszy ciąg nastąpi),

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Rousseau, Goethe, a za nim romantycy niemieccy stworzyli nastrój w odtworzeniu poetycznym krajobrazu, który u niektórych z tych poetów oddycha świeżością i weselem poranka, lub marzy w cieniach wieczoru.

Schelling, filozof-marzyciel, nazywa przyrodę poematem tajemniczym i duchem marzącym. Romantyzm odkrył w niej te same siły tajemne, które drzemią w głębi ducha ludzkiego, a występują jak niepochwytne cienie w chwilach zadumy i rozmarzenia.

Z głównych przedstawicieli poezji romantycznej niemieckiej, Jan Paweł Richter połączył idyllę prostoduszną i uczuciowość Klopstocka z satyrą i humorem. Przyrodę przepelnia ten poeta uczuciem dochodzącem niekiedy do przesady, unosi ją w błękity pełne melancholii, we mgły powiewne ubiera; nie chwyta żywych kształtów natury, lecz tylko cienie jej fantastyczne. Oto jak np. opisuje wschód słońca: „Byszczące złoto zorzy wieczornej odrzuca na wschód złoto matowe i pada kolorami różowemi na drżącą pierś przestraszonego skowronka, tego wieczornego dzwonu przyrody na wyżynach.“ Myśl poety błąka się w cieniach wieczoru, który „na zabarwionych czerwono falach swoich unosi w morze wieczności ciała trupie, kwiatami uwieńczone.“ Nad łąkami bez kwiatów i nad niwami bez kłosów widzi poeta unoszące się blade widziadła przeszłości, nad lasami i górami „mgłę gryzącą, jak gdyby przyroda, rozkołysana, w proch się przetwarzająca, rozpuszczała się w jej dymie.“

Inny poeta romantyczny, Tieck, dawał czytelnikom, jak mówi Carriere, „odczuwać tajemniczy dreszcz cudowności i kazał im wnikać w przyrodę.“ Znajdował w niej ten śpiewak nieuchwytny czar romantyczności, zespalał się w niej z życiem elfów lesnych, z tajemniczym żywotem roślin, z duchami, unoszącymi się na falach wód, z sercem słowika, opowiadającego w pieśni czarowne sny swoje. Cała przyroda przemawia w utworach tego romantyka zagadką, która ma znaleźć rozwiązanie w duszy piewcy. A dusza ta napełnia świat cały pieśnią miłości: pieśń ta leci ku księżycowi i ku jutrzeńce, niosąc im ból i szczęście serca ludzkiego i błagając o współczucie; melodia jej biegnie ku kwiatom i ziołom polnym, ażeby powtórzyły ją milionami języków.

Hardenberg, poeta, znany pod pseudonimem Novalisa, iskry ducha swojego, które nazwał „pyłkami kwiatów“, rzuca w mroki zagadek i tajemnic, w cienie wieczoru i nocy, pragnąc odczuć w nich to, co w głębinach ducha jego gra przeczuciem bezmiaru, okryte szatą nieświadomości, co płacze i marzy w piersi człowieka, czego rozum nie pochwyci, a uczucie tylko w częstce odgadnąć potrafi. W światłach tych Chrystus rozwiązuje pocie zagadkę nocy. Na ziemi zaś kwiat każdy mieści w sobie tajemnicę, która pragnie wydobyć się na jaw—i w tem usiłowaniu tkwi życie wewnętrzne przyrody. Tajemnica ta przemawia miłością i upojeniem, dla którego słów braknie. Kwiaty szepcą sobie słowa nieuchwytnie i po całej naturze rozchodzi się jeden, cichy szmer miłości. Dusza człowieka, pogrążając się z zadumą w życie przyrody, marzy z nią razem. „Wielki uczuciowy duch świata (Welt-Gemüth) wszędzie się porusza i kwitnie: świat cały staje się snem, a sen światem, co zaś w mniemaniu naszym już się stało, tu możemy widzieć, jako zbliżające się dopiero zdaleka.“ „I zbliża się nowy złoty czas o ciemnych, patrzących w nieskończoność oczach, czas proroczy, cudotwórczy i cudownie gojący rany, czas, który niesie pociechę i zapala życie wieczne.“

Pieśni ludu niemieckiego przemówiły czarem baśni fantastycznej. Bratani i Arnim zbierali te pieśni i oddali je na ofiarę liryce. Starano się nawet stworzyć mitologię na użytek poezji, zapomniano jednak, jak słusznie mówi Barriere: „że w podobny sposób, gdy już myśl jest gotowa, którą tylko w inną, także gotową osłonę wetknąć potrzeba, powstają zaledwo czcze alegorye; nie baczono, że mitologia była mimowolnym płodem duszy ludu, która drzemającemu w niej światowi idei przez to nadawała wyraz, iż przenosiła go bezpośrednio w takie zjawiska natury i historii, jakie życie uczuciowe człowieka pobudzały.“

Po za obrębem tej sztucznej mitologii, u niektórych poetów baśń ludowa żywym tonem przemówiła. W pieśni Ejehendorfa dała ona przyrodzie czarodziejską lirę serca, która rozbrzmiewa często radością i upojeniem, śpiewem lasów, pełnych zapachu ziół, symfonią ptasząt, nutą dolin szerokich północy, niekiedy serdeczną, szczerą i naiwną w prostocie baśni ludowej.

W poezji Uhlanda przemawia też żywo serce ludu niemieckiego, natura ojczysta i świat baśni. W formie jednak poeta ten odbiega od romantyzmu, tworząc w obrazach jasnych i wyrazistych. Gutzkow słusznie mówi o Uhlandzie, że odział on przyrodę w świąteczną szatę wesela i potrafił dać krajobrazowi—duszę. Jeżeli występuje w pieśni jego mitologia, to ta żywa mitologia, którą wyobraźnia ludu stworzyła, a nie ta, którą inni romantycy starali się stworzyć na użytek poezji.

We Frankonii znowu Rückert z głębokiem, pierwotnem poniekąd odczuciem przyrody Germanina, odtwarza jej życie organiczne, z poglądem na nią, od którego wieje czar poezji, przechodząc niekiedy w panteizm na tle Chrystyanizmu. Świat dla tego poety jest „niby lilją modro ubarwioną, osnową rzeczy pełną najskrytszych tajemnic”. Słońce zaś jest „kielichem ślubnym tej lilii,” a planety „zamiast pręciaków,” „rzekłbyś, oblubieńców grono.” Na tej lilii unosi się duch ludzki „niby motyl złoty, żeby z kielicha kwiatu pić rosę miodową”—aż „oto na kwiat wionęło nagle tchnienie Boże:

I wszystkie wraz planety ku słońcu się kłonią,
Każda się w niem najgłębiej zanurzyć spragniona.“

Stokroć jednak poetyczniej, niż w tej filozofii przyrody, bywa Uhland wtedy, gdy, dając wolę porywom serca, każe kwiatom w zapachu ostatnie wydawać tchnienie.

Był w Niemczech poeta, który zerwał z macyzycielstwem romantyzmu ojczystego a zbliżył się do późniejszej poezji romantycznej Francji. Poetą tym był Henryk Heine. W pieśni jego wszechwładztwo ducha znika; życie zmysłowe staje się równomiernym czynnikiem. Przyroda przegłada się tu we łzach serca, ale w tych łzach, które płyną po twarzy, wykrzywionej śmiechem ironią; przemawia ona w tonach muzykalnych rzygrywką do śpiewu uczuć serca ludzkiego, ab wyrazem symbolu. Posłuchajmy choć jednej takiej piosenki:

„Gdy maj rozsypał kwiaty
„Po wonnym łąk kobiercu,
„Ja czułem wtedy, że miłość
„Rozkwita w moim sercu.

„Gdy maj rozbudził ptasząt
„Piosenki i pieszczoty,
„Ja wtedy jej wyznałem
„Pragnienia me i tęsknoty.“

(Przekład Br. Zawadzkiego).

Nieszczęśliwy rozbitek duchowy, który stracił już miłość i nadzieję i „jak trup, przez morze wyrzucony z pogardą, leży na piaszczystym, nagim wybrzeżu,” wplata urocze obrazy przyrody w wylewy uczuć swoich. Rozbitek ten—to Heine.

„Cudne kwiaty poezji powstają z łez moich,” mówi słusznie piewca, który, według słów Carriera’a, „poezję natury i serca przeciwstawił, czczym, przytłoczonym, rozburzonym stosunkom społecznym, smagając je gryzącym swem szyderstwem. Głos natury przemawia żywo do serca jego, odczuwa jednak silniej przez zmysły, niż przez marzenie i zadumę. Gdy woń lilii przenika tak silnie do duszy poety, że aż pieśnią się staje, to pieśń ta budzi w jego sercu namięt-nem dreszcz naturalny, nie mistyczny, a jest

ona dla niego tak słodką, jak pierwszy pocałunek ust kochanki.“

„Cudne kwiaty poezji powstają z łez moich,” powtarzam raz jeszcze za poetą i wierzę mu, gdy kreśli nam obraz taki:

„Drzemiąca sosna samotnie,
„Na wzgórzach północy stoi,
„Śnieg i mgła szronu wilgotna
„W białą osłonę się stroi.

„I drzemiąc, o palmie marzy,
„Co tam na Wschodzie, daleko,
„Samotna cicho się skarży,
„Na skale pod słońca spieką.“

(Przekład Jana Prusinowskiego).

Co do pojęcia Bóstwa w przyrodzie to chociaż w huku burzy Heine słyszy akordy wielkiej pieśni, którą wszechświat o Stwórcę śpiewa, a w obłokach widzi postaci bogów Grecji, jednak w tem odtwarzaniu natury tkwi tylko ozdoba poetyczna i przenośna a nie odczucie mistyczne lub panteistyczne, za dowód czego posłużyć może choćby to postawienie Stwórcy ziemi w pojęciu chrześcijańskim obok bogów Grecji.

Przyroda daje zazwyczaj Heinemu piękne arabskie, pełne barw, woni rozkosznej, a niekiedy tylko przeistacza się w tak czarowne myty, jakie widzimy w „Kwiecie lotosu.“

Ducha elegii, smutku i melancholii głębokiej przełał w łono przyrody inny poeta niemiecki, Lenau. Natura w pieśni jego płacze i skarży się: drzewa wzdychają, strumyki jęczą, wichry i fale szemrzą skargą żalosną a obłok posępny przesuwa się po obliczu nieba jak zaduma melancholijna. Często jednak poeta ten zdobywa się na tchnienie jędrniejsze i zdrowsze. Wówczas jutrznią wznosi z radością do góry złocisty puhar słońca, wówczas radosny krzyk pory wiosennej rozbrzmiewa po dolinach a ziemia, usłyszawszy krzyk ten, budzi się ze snu przywidzeń, które kamieniem ciężkim i chłodnym pierś jej dusiły.

Ożywcze tchnienie, wiejące z marzycielskiego idealizmu Jana Jakóba Rousseau, inaczej odżyło w poezji francuskiej; inny tam powstał romantyzm. Geniusz Gallów, trzeźwiejszy i realniejszy, nie zadumał się nad zagadką wszechbytu, nie wznosił uszy piewcy do wyżyn idealizmu i abstrakcji; przeciwnie, entuzjazm jego zwrócił się do zagadek życia jednostki i społeczeństwa z mieczem reformatorstwa. Wypowiedział on bój martwocie ducha i obłudzie fałszywej, tradycyjnym formom moralności i obyczaju. Na ołtarzu ducha postawił: „prawdę natury i namiętności.“ Geniusz Gallów nie uogólnia objawów ducha i przyrody, nie dochodzi do syntezy, a rozbiera je na cząstki, analizuje. Przyroda nie przemawia do niego czarem swej fantastyczności i cudowności, nie kreśli w nim tajemniczych słów mistycyzmu.

Jeżeli dusza Jerzego Sanda odświeża się u źródła przyrody, jeżeli Indyana znajduje szczęście w sielance samotności leśnej, to nie wyłącznie z miłości dla natury, lecz dlatego, że szuka na jej łonie, w objęciach ukochanego, ucieczki przed światem, pełnym fałszu i obłudy, przed życiem, pełnem bólu i zawodów. Znajdziemy u romantyków francuskich idylle, ale nigdy nie napotkamy filozoficzno-poetycznego odczucia przyrody.

Niema też u wszystkich prawie ówczesnych poetów Francji tej przewagi treści nad formą, tej niesforności fantazyi, które widzimy u romantyków niemieckich.

Z początku, po dniach rewolucyi, duch poezji, pod wpływem reakcyi, pochwycił za kotwicę religijno-pozytywną.

Romantyzm Châteaubriand’a, odczuwając porywy ducha znękanego, rozczarowanego, pełnego melancholii sentymentalnej, wlewa w przyro-

dę szarą, delikatną mgłę tej melancholii i rozczarowanie. Dusza poety rozplywa się w marzeniach na łonie natury, w marzeniach duszy namiętnej a chorej, samolubnej, własnym bólem przejętej. W przyrodzie widzi piewca kochankę, którą pragnąłby przycisnąć do swego serca znękanego, „ażeby zgorzeć na jej piersi w tem ukochaniu,” która ma być źródłem „jego natchnień, rozpaczy i życia.” A po nad temi rojeniami poety unosi się realnie odtworzone niebo—przybytek Boga jedynego. Zamiast ducha przyrody daje nam Châteaubriand „ducha Chrześcijaństwa.“

Lamartine żywiej, goręcej i głębiej odczuwa naturę. Serce na swojej drodze wrażeń religijnych napotyka już uczucie nieskończoności. Jest to poeta nocy czarownych, przemawiających głębią milczenia, oświetlonych blaskiem księżycy—marzyciela pod sklepieniem miliona gwiazd. Światelka tych gwiazd są zesłankami nieba, przemawiającymi do nas mową tajemniczą.

Religijne odczucie przyrody rozplywa się u Lamartine’a w modlitwie gorącej. Na schyłku dnia natura cała w zadumie duchowej podnosi się do Twórcy dnia i nocy, niosąc mu ostatnie blaski słoneczne, jako wspaniałą ofiarę stworzenia. Świat cały jest świątynią, ziemia—ołtarzem, niebiosy—kopułami. W zadumie przyrody żyje duch ludzki, który na promieniach słońca i na skrzydłach wichrów wleciał do tronu Boga.

Przyroda dla Lamartine’a nie jest, jak dla Châteaubriand’a, kochanką, na której łonie chce spłonąć, lecz bratem najdroższym, z którym śmierć—jesień boleśnie go rozdziela. Brat ten dzieli z poetą uczucia serca. Błaga więc piewca jezioro, jaskinie, skały nieme i cienie lasów smutne, aby przechowały wspomnienie owej nocy pamiętnej, gdy w milczeniu płynął po kryształach wód z ukochaną. I dalej błaga:

„O jezioro! niech ono (wspomnienie) tkwi w two-
[ich jedlinach,
„Niechaj będzie w twej ciszy... niech będzie
[w twych burzach,
„Niechaj tkwi w twych wesoło uśmiechniętych
[wzgórzach
„I w skał dzikich rozpadlinach.

„Niechaj będzie w zefirze, który drży i znika,
„I w fal twoich szemrzącem, lazurów łonie,
„I w gwieździe z jasnym czołem, co srebrzy
[twe tonie

„Światłem swojego promyka.“

(Przekład Władysława Nawrockiego).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Krakowie p. Certowicz otworzyła szkołę malarstwa i rzeźby dla kobiet pod kierownictwem artysty-malarza, Wyczółkowskiego. Gdyby Akademia sztuk pięknych była dla kobiet dostępną, szkoła ta nabrałaby większego jeszcze znaczenia jako przygotowująca do Akademii. Na razie musi ją dla kobiet zastąpić.

— Dla gospodyń naszych pragnących wydoskonalić się w dziale pszczelnictwa, a mianowicie w miodosytnictwie, wyrobie win owocowych, suszeniu owoców i jarzyn, otworzyła się bardzo dobra sposobność korzystania z praktycznych zajęć w tym kierunku w Towarzystwie Pszczelniczo-Ogrodniczem, które ogłosiło w tym celu: Kursa dwutygodniowe. Podobno wiele pań i pannen korzystać będzie z tych praktycznych kursów dla uzupełnienia swych wiadomości.

— Na tegorocznej wystawie Monachijskiej w szklanym pałacu zwracały uwagę trzy portrety pędzla naszej rodaczki, panny Boznańskiej, która już w tym dziale malarstwa zyskała sobie zasłużone i znane imię i jest obecnie jedną z najlepszych naszych portrecistek.

— P. Faustyna Morzycka wydała świeżo pracę z dziedziny podróży p. t. „Z dalekiej północy.“ Autorka opisuje Norwegię, Szwecję, Danię, Irlandię i Laponię, do opisu kraju łącząc trafne i zajmujące uwagi i szczegóły nieznanne, którymi określa bliżej charaktery ludów i typowość państwową tych miejscowości. Książeczkę zaleca prostota opisu i dobór treści mniej znanej z podróźniczej literatury oraz ładny język w opowiadaniu.

— Znana autorka niemiecka, pani Paulina Marya Lacroma odbyła trudną i pracowitą podróż po Dalmacji, zbierając wrażenia i szczegóły do opisu tego kraju. Podróż tę podjęła p. Lacroma jedynie jako podstawę do studium, które opracowuje dla jubileuszowego dzieła cesarskiego p. t. „Nasza monarchia.“ W czasie swej podróży doznała autorka wszędzie gościnności i serdecznego przyjęcia.

— W uniwersytecie Londyńskim, przy egzaminach ze sztuki i nauk, na 391 kandydatów ogółem, zdało pomyślnie 151 kobiet.

— W księstwie Hesskiem, na mocy nawo ustanowionego prawa powołano na urząd inspektora przy fabrykach kobiety; drugim państwem niemieckim, która tego rodzaju nadzór przemysłowy oddała w ręce kobiet, jest W. księstwo Sasko-Wejmarskie, gdzie mianowano już inspektorką fabryczną panią Rönseh.

— Kupiecko-przemysłowe Stowarzyszenie pomocy dla pracownic handlowych w Berlinie, ogłosiło w swym dorocznym sprawozdaniu za rok 1896 następujące dane: miejsc zarobku rozdano 1417 pomocniczkom sklepowym, a 209 uczennicom (w praktyce handlowej). Zakłady naukowo-handlowe miały uczennic 618, w szkole pisania maszynowego, systemem Bar-Lock'a, Hommonda, Yosta i innych uczyło się kobiet 159; członków było w kasie pomocy 7654, a stowarzyszenie wogóle liczy członków 10,000! Na zapomogi rozdano 1484 marki, na letni pobyt dla cierpiących członków: 4578 marek. Biblioteka Towarzystwa liczy 3,200 dzieł. Widzimy z tych dat, że dobrze obmyślana działalność wspólna, dobra i sprężysta administracja i trafnie udzielona pomoc w pracy, wydaje pomyślne owoce, ratuje mnóstwo jednostek, za słabych aby z trudnych okoliczności wybrnąć cało, własnymi siłami, a za dumnych, aby korzystać z dobroczynności publicznej, która zawsze dając pomoc, jakąś cząsteczkę miłości własnej pocłania. Stowarzyszenie powyższe, w przeważnej części administrowane przez kobiety, daje pomoc, potrzebującą ale zarazem istniejącą podtrzymywanie ilością swych niezamożnych, a ciężko pracujących członków. Zawsze tam gdzie jest „dobro powszechne skalą“, gdzie jednostka bierze udział w ratowaniu wielu, nie doznaje sama upokorzenia, gdy zbiorowa siła śpieszy jej na ratunek. Takie Towarzystwo pomocy dla kobiet pracujących w handlu i przemyśle i u nas by się przydało, mianowicie dla tych nieszcześliwych, a wyzyskiwanych dziewcząt zatrudnionych po magazynach mód i krawieczyzny.

— We Francji pracuje obecnie 2,510 kobiet na polu literatury i dziennikarstwa. Między niemi jest 1,000 nowelistek, 200 lirycznych poetek i 150 pedagogicznych pisarek. Czy tego nie za dużo? Może dlatego tak niewiele jest tam wybitnych obecnie talentów. Liczba kobiet pracujących w malarstwie i rzeźbie wynosi 700.

— W Anglii pracują kobiety dość licznie w urzędach pocztowych, przy wysyłce pieniężnej, i przy telegrafach. Po pewnej liczbie lat mają prawo do pensji emerytalnej, a jeśli która za mąż wychodzi, to wypłacają jej za każdy rok odbytej służby pensję miesięczną.

— Panna Dorotea Klumpke, niemiecka amerykańka, która w ostatnich latach zajmowała się w Paryżu, obliczeniami i pomiarami astronomicznymi dla wielkiej karty niebios admirała Moncheza, odznaczoną została przez paryski fakultet matematycznych nauk godnością doktora matematyki.

— Jako doktor kolejowy przy wielkiej linii Północno-Pacyfik w Ameryce praktykuje pani Liebury z głównym siedziskiem w mieście Hope. W Danii znów zatrudnioną jest jedna kobieta, jako prowadząca pociąg kolei żelaznej. Musi mieć i wielkie zdrowie i wielką przytomność umysłu i chyba już nie pokonane trudności znalezienia innego zajęcia.

Z bieżącej chwili.

— W chwili obecnej toczą się rokowania między rządami rosyjskim i francuskim w celu ostatecznego omówienia warunków udziału państwa rosyjskiego w wszechświatowej wystawie w Paryżu r. 1900, na który to cel ministerium skarbu asygnuje 2 miliony rs. Clou oddziału rosyjskiego ma być dział górniczy.

— J. E. ks. Aleksander Bereśniewicz, biskup dycezyi kujawsko-kaliskiej obchodził w d. 12 b. m. 50 letni jubileusz kapłaństwa. W uroczystości, która się odbyła w Włocławku, wzięli udział liczni dostojnicy kościoła z J. E. ks. Arcybiskupem Popielem na czele, duchowieństwo i tłumy pobożnych.

— Pani Kazimiera Karpińska, nauczycielka języka polskiego i długoletnia pracowniczka w wyższych zakładach naukowych pp. Izabelli Smolikowskiej i Cecylii hr. Zyberk-Plater otrzymała pozwolenie władzy na otwarcie w Warszawie „Szkoły żeńskiej 2 klasowej początkowej.“ Poświęcenie lokalu nowej szkoły odbyło się 12-go b. m., a nauka rozpocznie się 18-go b. m.

— Sfery odnośne w Petersburgu otrzymały w tych dniach do zatwierdzenia ustawę Towarzystwa kremacyjnego, którego zadaniem będzie wystawiać w rozmaitych miastach Państwa

piece do palenia zwłok. Towarzystwo rozporządza kapitałem pół miliona rubli.

— Władze naukowe postanowiły zwrócić baczniejszą uwagę na gimnastykę szkolną. W tym celu otrzymali lekarze sztabowi polecenie, ażeby od czasu do czasu byli obecni na lekcyach gimnastyki i na dokonanej podstawie obserwacji, uwalniali niektórych uczniów od pewnych ćwiczeń gimnastycznych.

— Wychodzący w Berlinie „Magazin für Literatur“ zamieszcza obszernie wspomnienie o s. p. Adamie Asnyku, pióra znanego publicysty S. Karpelesa. Autor uważa zmarłego za najwybitniejszego poetę nie tylko polskiego, lecz w ogóle literatury ostatniej doby i za znakomitego przedstawiciela liryzmu.

— Dnia 10-go b. m. minęło 100 lat od chwili śmierci Mary Wollstonecraft, pierwszej pionierki współczesnego ruchu emancypacyjnego, której poglądy do dziś dnia jeszcze stanowią podstawę dla ruchu kobiecego. Życie zmarłej pełne było niepowodzeń, które zmusiły ją nawet do targnięcia się na własne życie. Owocem rozmyślań jej była praca napisana w roku 1792 p. t. „Obrona praw kobiety.“

— Banki Państwa zaprzestać mają wkrótce wydawania banknotów jedno i trzyrublowych, które zamienione być mają monetą srebrną.

— Z początkiem nadchodzącego roku szkolnego otwarta ma być w Moskwie szkoła korespondentów handlowych, której zadaniem będzie przygotowywać biegłych korespondentów handlowych w językach rosyjskim, niemieckim, francuskim i angielskim.

— Miasto Bergamo we Włoszech obchodzi uroczystość setnej rocznicy urodzin autora „Lucy z Lammermoru“, Donizetti'ego. Na urządzoną wystawie pamiątek po mistrzu, najcenniejszym przedmiotem jest fortepian jego, noszący jako napis Donizetti'ego do szwagra, w którym prosi, by instrumentu tego za żadną cenę nie sprzedawał, lecz przechowywał go jako pamiątkę rodzinną.

— Romantyczna para kochanków donna Elwira de Bourbon i malarz Folchi osiedliła się obecnie w Nowym Yorku. Księżniczka pracuje w magazynie mód, robi kapelusze, on zaś trudni się malarstwem. Rodzice księżniczki odmówili młodej parze, jak wiadomo, wszelkiej pomocy materyalnej.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołączamy: arkusze 2 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu* Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Potęga i znaczenie wychowania, pogadanki pedagogiczne, przez Janinę S. Aleksotę. — Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego, przez P. Chmielowskiego (dalszy ciąg). — Pogawędka, przez ?? — Kazimierz Gliński. Wróci! Powieść. (dalszy ciąg). — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkusz 2. — Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.